



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Janina Genowefa Wieczerek

Stracone dzieciństwo

1 września 1939 roku miałam iść do czwartej klasy szkoły podstawowej (w listopadzie kończyłam 10 lat). Miałam na tę okazję nowy fartuszek szkolny, uszyty według najnowszej mody z poszerzonymi na ramionach rękawami, z usztywnieniem. Cieszyłam się, że będę mogła szpanować. Byłam cała dumna. Niestety, nie dane mi było zaznać tej radości. Komunikat radiowy ogłosił, że Niemcy napadli na Polskę. Byliśmy przerażeni. Apelowano żeby szyby pooblepiać paskami papieru, bo będą wysadzane mosty. Przed dom zajechał furmanką brat Mamy, który kilkanaście kilometrów od nas miał gospodarstwo rolne. Za furmanką szło uwiązanych kilka krów. Na wozie w pierzynach oprócz ciotki ulokowała się trójka dzieci w wieku 2, 6 i 9 lat. Wujek zaproponował Rodzicom abyśmy dosiedli do nich i uciekali razem na wschód (mieszkaliśmy w Wielkopolsce). Ojciec powiedział mu kilka ostrych słów, między innymi, że chyba zwariował. Byli przecież na pierwszej wojnie światowej i wiedzą co to jest wojna. Gdzie więc przed nią uciekać? Wujek dał się przekonać. Wjechał z całym dobytkiem na nasze podwórko, aby się zastanowić.

Tymczasem miasto prawie opustoszało. Ludzie uciekali pociągami, furmankami, czym kto miał. Życie w mieście zamarło. Ojciec miał piekarnię, wujek krowy, żywiliśmy więc przez kilka pierwszych dni wojny tych mieszkańców z okolicy, którzy pozostali. Ojciec miał rację – uciekający na wschód zostali obrzuceni z niemieckich samolotów bombami w okolicach Kutna. Wujek zdecydował się wracać do domu. Musiał jechać okrężną drogą z powodu wysadzenia mostów. Nie dane mu było jednak przeżyć okupacji. Zginął w obozie w Oświęcimiu, gdzie zesłany został za słuchanie radia, o czym powiadomił policję prawdopodobnie sąsiad – Polak.

Po kilku dniach miasto nasze zajęli Niemcy. Pierwsza grupa wjechała na rowerach, rozglądając się uważnie dookoła, czy kto nie będzie do nich strzelał. Zaczęła się okupacja. Zostałam zapisana przymusowo do niemieckiej szkoły dla polskich dzieci. Początkowo uczyliśmy się w salce przy rzeźni. Później przeniesiono nas do wiejskiej szkoły, oddalonej o 3 kilometry od miasta. Nauka odbywała się w języku niemieckim. Nasze szkoły w mieście zajęte zostały na magazyny wojskowe. Najgorsza była zima. Za ciasne buty (wszystko przecież było na kartki) doprowadziły do tego, że nogi miałam odmrożone i poranione. W szkole za każdy szept lub złą odpowiedź dostawaliśmy lanie. Chłopcy musieli się przekładać przez ławkę, a my – dziewczynki dostawaliśmy kijem po łapach. Kiedyś ośmieliliśmy się zapytać, dlaczego poziom nauczania jest taki niski. Niemiecka nauczycielka odpowiedziała nam, że wystarczy abyśmy zrozumieli po niemiecku, że mamy wyrzucać gnój, bo do tego jesteśmy przeznaczeni.

Zaczęły się wywózki co znaczących obywateli do Generalnej Guberni. Ich mieszkania i zakłady pracy przejmowali Niemcy. Ojciec pozostawał na swoim dosyć długo. Piekł bardzo dobre pieczywo

i podejrzewaliśmy, że Niemcy, których było już dużo w okolicy i w związku z tym byli naszymi klientami, nie chcieli się pozbawić dobrego pieczywa. Przyszedł jednak piątek 13 lutego 1942 roku. W godzinach wieczornych wpadło do naszego domu kilku gestapowców, polecając nam wynieść się w ciągu pół godziny. Na dworze był mróz poniżej 20 stopni i śnieg po kolana. Kazano nam na drugi dzień zgłosić się do urzędu po przydział mieszkania. Tego wieczoru przyjęli nas na nocleg sąsiedzi. Okazało się, że pod drzwiami od ulicy czekała już rodzina niemiecka, która przed wojną mieszkała chyba w Otwocku. Teraz uciekała przed zbliżającym się frontem. Ojciec rodziny był piekarzem. Zajęli po nas mieszkanie jeszcze z ciepłymi piecami, kolacją na stole i ze wszystkim gotowym do wypieku pieczywa w piekarni.

Mieszkanie dostaliśmy na poddaszu. Składało się z jednego pokoiku i małej kuchni z łamanym sufitem. Trochę mebli odstąpili nam znajomi. W pokoju mieściły się tylko dwa łóżka. Stół był na zawiasach przymocowany do ściany, podnoszony tylko w razie potrzeby. Codziennie wieczorem w przejściu trzeba było rozstawiać trzecie łóżko. W kuchni oprócz pieca mieścił się jedynie mały stół i jedyna w mieszkaniu szafa. Nasza rodzina składała się wtedy z siedmiu osób. Trójka w tym to krewni, których rodziny znajdowały się w trudnych warunkach życiowych. U nas dotąd przynajmniej chleba było pod dostatkiem. Teraz jednak ciotka i kuzynka musiały wrócić do swoich bliskich. Został z nami tylko syn Mamy kuzynki, który uciekł z transportu do Generalnej Guberni.

W listopadzie 1942 roku ukończyłam 13 lat, w związku z czym na początku 1943 roku skierowano mnie do pracy. Ojciec, mama, starsza siostra i krewny – wszyscy już pracowali. Przestałam chodzić do szkoły. Na odcisku palca, który był wtedy naszym dowodem tożsamości, przybito mi w Arbeitsamcie pieczętą: „Inhaber des Arbeitsbuches No 453/28758”. Zostałam „Kindermädchen”. Powierzono mi opiekę nad dwójką dzieci. Jedno miało 3 lata, a drugie dopiero się urodziło. Ich ojciec walczył na froncie wschodnim, gdzie w niedługim czasie zaginął. Matka nie miała czasu zajmować się dziećmi ani domem, nie lubiła też tego, musiała pilnować pracowników, których było chyba dziesięciu. Oprócz jednego wszyscy inni byli Polakami. Była to piekarnia przejęta po Polakach, których wywieziono do Generalnej Guberni. Praca odbywała się na dwie zmiany od godzin nocnych do popołudnia. Chleb dostarczany był też dla wojska.

Po dwutygodniowym pobycie siostry szefowej, która była pielęgniarką, wszystkie obowiązki przy dzieciach spadły na mnie. W pracy miałam być już o siódmej rano, bo o tej porze otwierano sklep i szefowa już nie miała czasu dla dzieci. Planowała nawet trzymać mnie przez całą dobę, ale po kilku nocach, podczas których dzieci wcale nie płakały, zrezygnowała. Wracalam więc do swojego domu wieczorem, gdy dzieci już spały. Droga do domu prowadziła koło szpitala, a tam przy ulicy była kostnica. Kiedy tam przechodziłam włosy na głowie stawały mi dęba ze strachu.

Jako trzynastolatka musiałam wziąć na swoje barki obowiązki osoby dorosłej. Wszystko co wiązało się z tą dwójką dzieci należało do moich zadań. Musiałam je ubierać, rozbierać, często nawet osobno im gotować. Służąca gotowała posiłki dla pracowników – Polaków, które nie były odpowiednie dla niemieckich dzieci. Kąpanie ich też należało do mnie. Początkowo drżałam ze strachu, żeby temu młodszemu przypadkiem nie zrobić krzywdy. Później już mi to zupełnie dobrze wychodziło. Niemka widząc, że sobie radzę, prawie przestała się dziećmi interesować. W ciągu dnia wyprowadzałam dzieci na spacer – jedno w wózku, drugie – niesforne – obok. Późnym popołudniem, w ramach spaceru, musiałam jeszcze chodzić na drugi koniec miasta po mleko. Było to ciężkie zajęcie – pchać wózek, dźwigać 3-litrową konewkę z mlekiem i pilnować skaczącego obok dzieciaka. Ja byłam drobną, szczupłą dziewczynką.

Niedzielę rzadko miałam wolną, bo wtedy też dzieciaki potrzebowały opieki. Jedyną pozytywną stroną było to, że gdy byłam głodna, posyłałam starsze z nich do sklepu po bułkę (pracowały tam polskie ekspedientki). Dziecku szefowej mogły ją dać, a zjadałam ją ja. Czasem musiałam też ukraść bochenek chleba, bo domownicy na kartki mieli go za mało. Chleb z marmoladą z buraków był wtedy podstawą wyżywienia.

W czasie, gdy jeszcze chodziłam do szkoły, znajomi ze wsi odstępowali nam niekiedy coś do jedzenia. Szłam wtedy wieczorem na wieś, tam nocowałam, a rano z tornistrem na plecach szłam niby do szkoły, niosąc w nim kilka jajek lub kawałek masła. Później już i o to było trudno. W niedzielę chodziliśmy do lasu zbierać szyszki na opał.

Tak toczyło się moje życie do grudnia 1944 roku. W tym czasie front wschodni zaczął przesuwać się na zachód. Niemcy zaczęli uciekać. Moja szefowa z dziećmi też. Chciała mnie koniecznie zabrać ze sobą, ale mama przyszła na dworzec i zabrała mnie z powrotem. Niemcy, którzy zajmowali nasz dom również szybko się wyprowadzili. W tej sytuacji ojciec zdecydował, że wracamy na stare śmiecie. W styczniu wojska radzieckie wkroczyły do miasta. Zastrzelili tylko kilku żołnierzy niemieckich, którzy nie zdążyli uciec albo mieli jakieś zadania na miejscu. Na ulicy, którą wkraczali, oddali tylko jeden strzał armatni, rozbijając narożnik budynku. Przy okazji wyleciały szyby w pobliskich domach. Wojna i okupacja skończyły się.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich na jakiś czas obok naszego domu, na dużym placu po starym tartaku, zatrzymał się jeden oddział. Kadra oficerska zakwaterowała się w naszym domu. Jednego wieczoru kilku żołnierzy przeskoczyło przez płot i zaczęło dobijać się do drzwi wrzeszcząc: „dawaj dziewczuszki!” Mama prędko ukryła nas na strychu. Jeden z oficerów radzieckich przyszedł nam jednak z pomocą. Zszedł na dół, otworzył drzwi, wyciągnął rewolwer i wrzasnął: „odejść albo zastrzele!” Gdyby dostali się do środka, ukrycie nas na strychu nic by nie pomogło.

Opisując tamte czasy nie mogę jednak nie wspomnieć o przejawach ludzkich uczuć ze strony okupantów. Niemiecki listonosz, który roznosił pocztę na naszej ulicy, kilka razy w torbie lub pod peleryną przynosił nam trochę owoców. Były to pomarańcze. Zdziwionej Mamie powiedział: „To dla dzieci, bo one są przecież takimi samymi dziećmi jak nasze”.